

ROZDZIAŁ VI

O godzinie siedemnastej pojawili się na umówionym miejscu i okazało się, że nie ma tam żadnego policjanta.

- O, w mordę – skrzywił się Walewski – czyżby Holender z nas zakpił i przesunął godzinę wizji?

- Eee, na pewno nie, bo wiedziałyby o tym ta sklepowa, a jak kupowałem fajki, to nic nie mówiła, aby tu się coś działo – Rylecki wyjął z kieszeni papierosa i poczęstował towarzyszących mu kolegów.

- Ja też myślę, że oni po prostu, jak zwykle, nie mogą się wyrobić, więc poczekajmy tu trochę, zaraz powinni się zjawić – uspokajał kolegów Drożdż.

W oczekiwaniu na przyjazd ekipy Holendra, usiedli na znajdującej się przy sklepie ławce i zapalili w milczeniu, wystawiając twarze na promienie mocno świecącego jeszcze słońca. Wykorzystując chwilę spokoju opowiedział im, co się wydarzyło w gabinecie Holendra i jakie rewelacje usłyszeli od właściciela zgwałconego psa.

-Ty, nie gadaj – zaśmiał się Rylecki – niezłe jaja. Jeszcze tego nie grali.

- No, to będą mieli chłopaki chyba najciekawszą w tym sezonie sprawę – wtórował mu Walewski – będzie to nizały hicior, jak lubieżnika dopadną.

- Jeszcze lepszy będzie, jak ten lubieżnik okaże się Romaniukiem – opowiedział im pokrótce o skojarzeniu Holendra.

- Ty wiesz, że to by mogło się zgrać – Rylecki spojrzał na niego z wyraźnym zaciekawieniem – wprawdzie to na razie palcem po wodzie pisane, ale kto wie.

Szykujący się do skomentowania słów kolegi Walewski, już nie zdążył tego uczynić, bo to, co nagle zaczęło się dziać, wprowadziło ich w osłupienie.

Najpierw usłyszeli ryk policyjnych syren, a na teren placyku przy sklepie wjechała kolumna radiowozów z migającymi kogutami. Po chwili zaroilo się tam od umundurowanych na czarno i uzbrojonych w broń automatyczną policjantów, przemieszanych z dość liczną grupą funkcjonariuszy w cywilnych ubraniach. Część policjantów mundurowych na czarno należała do nieetatowej drużyny antyterrorystycznej, kierowanej przez Krystiana Gorylewicza, skupiła się wokół policyjnego busa, który z migającymi kogutami zaparkował w pobliżu sklepu spożywczego. Widać było wyraźnie, że ze szczególną uwagą pilnują tego pojazdu, co mogło oznaczać, iż właśnie w nim znajduje się Romaniuk. Jak się można było spodziewać, w okolicy placu natychmiast pojawiła się wielka grupa okolicznych mieszkańców, którzy w mig zorientowali się, w jakim celu zjechało się tylu zbrojnych funkcjonariuszy. Od razu też podniosły się wzburzone okrzyki świadczące, że zgromadzeni chcieliby dostać w swoje ręce tego bandytę, chociaż nie wiedzieli jeszcze, kto w nim jest. Oczekiwali w wyraźnym napięciu, na moment, kiedy ten ktoś z policyjnego pojazdu wyjdzie wreszcie na zewnątrz.

Drożdż odszukał wzrokiem Holendra i szybko podszedł do niego, zdenerwowany do granic możliwości.

- Jarek, do kurwy nędzy, co ty wyprawiasz – prawie krzyczał – może jeszcze trzeba było zaprosić orkiestrę dętą? Porąbało cię?

- Spokojnie, wiem, co robię – Holender wyraźnie zadowolony starał się ignorować jego zdenerwowanie – to taki psychologiczny chwyt. Rozumiesz, o co mi chodzi? Musimy buraka złamać psychicznie, bo tylko tak mamy szansę, aby zechciał nam pokazać to, co zrobił. Wiesz, on tam na pewno zesrał się już ze strachu i o to mi chodziło. Rozumiesz, o co mi chodzi?

Po tych słowach Drożdź poczuł jak schodzi z niego cała nagromadzona nagle złość i z narastającym rozbawieniem zaczął wyobrażać sobie, jak będzie przebiegała rozmowa z Merylem, który co, jak co, ale takich cyrków nie tolerował.

Ku swojemu zdziwieniu zauważył nagle Romana Żeleźnika, energicznie wydającego jakieś polecenia zgromadzonym wokół niego podwładnym.

- A ten, co tu robi – pomyślał nadal rozbawiony – przecież jest na urlopie. Czyżby ktoś go poinformował i nagle ten urlop przerwał, nie chcąc, aby całą śmietankę spił Holender? Podszedł do niego i po przywitaniu się zapytał o to.

- Wiesz, przyjechałem dziś przed godziną i zadzwoniłem do Palki, aby się dowiedzieć, co w wydziale. No i dowiedziałem się, więc pomyślałem, że będzie lepiej, jak będę przy tym obecny – Żeleźnik wskazał ręką na radiowóz, w którym przebywał Romaniuk – wiesz, że w razie czego i tak to ja będę za wszystko ciągnący.

W wypowiedzianych słowach wyczuć można było pewien niepokój i wyraźną niewiarę w sens czynności w kształcie, w jakim mu to przedstawiono. Drożdź domyślił się, że Palka w rozmowie telefonicznej prawdopodobnie poinformował go dokładnie o tym, jak Holender rozmawiał z Romaniukiem i jakie z tego wynikły konsekwencje, których skutków Żeleźnik mógł się na wyrost obawiać. Po krótkiej rozmowie, w czasie której przekazał Żeleźnikowi treść ustaleń, jakich dokonał ze swoim zespołem, rozeszli się kierując się do swoich ludzi.

Po dotarciu do oczekujących na niego niecierpliwie kolegów, zapalił papierosa i zaciągając się głęboko, usiadł na przednim siedzeniu „poloneza”.

- Słuchajcie – zwrócił się do kolegów, którzy również z papierosami w ustach usadowili się na tylnym siedzeniu samochodu – zdaje się, że dla nas tu roboty nie ma i nie będzie.

- A to dlaczego? – zdziwił się Walewski – czyżby dlatego, że przyjechał Żeleźnik?

- Nie, on mi, ani chyba wam, nie przeszkadza. Tu będzie

Nie dokończył, bo w jego słowa wszedł Rylecki – Tu będzie cyrk jak cholera. To chciałeś powiedzieć?

- Ano, to – opowiedział kiwając głową na potwierdzenie.

- To co? Jedziemy do domu- w głosie Walewskiego przebijały wyraźnie nuty nadziei – nic tu po nas, a oni i tak nie chcieliby, abyśmy się kręcili przy sprawie.

- Niby masz rację, ale poczekajmy, bo wiesz, Meryl zadzwoni do Holendra i spyta się co robimy, albo coś w tym rodzaju i jak nas nie będzie, to wiesz jaka będzie później jazda – nie miał wątpliwości, że Meryl dzwonić będzie do Holendra i przy okazji zapyta się oczywiście, co porabiają „jego ludzie”.

- Słuchajcie, – Rylecki odezwał się nagle i dosyć gwałtownie – myślę, że najlepiej będzie, jak my się do tej wizji nie będziemy wtrącać, no najwyżej popilnujemy trochę porządku – mówiąc to wskazał na gęstniejący wokół radiowozów tłum ludzi – bo wygląda na to, że może być za chwilę gorąco.

Drożdź dopiero po słowach Ryleckiego zauważył, że na placyku zrobiło się faktycznie bardzo tłoczno, a na dodatek w jego kierunku zmierzały dalsze i również liczne grupy mieszkańców osiedla, zwabione zapewne ilością radiowozów i migających na dachach kogutów. Wyszedł z samochodu i po krótkich poszukiwaniach odnalazł Holendra, który w obecności Żeleźniaka bardzo nerwowo rozmawiał z jakimś młodym, nieznanym mu, mężczyzną. Gdy podszedł do nich dowiedział się, że tym młodym osobnikiem jest prokurator Marian Śmigaj z prokuratury rejonowej, który został wyznaczony do przeprowadzenia wizji. Właśnie Holender tłumaczył mu, co się w ogóle wydarzyło, co oni chcą przeprowadzić, kim jest zabójca i co konkretnie zrobił. Mocno go zaskoczyło to, że prokurator mający przeprowadzić wizję lokalną nie ma zielonego pojęcia o sprawie, ale Holender, odciągając go na bok, wyjaśnił mu, że prokurator jest ze sprawą nieobeznany, bo został złapany na telefon po nerwowych poszukiwaniach jakiegokolwiek prokuratora z miejscowej prokuratury. Uspokajał go, jednak okazując sporą nerwowość, że niewiedza prokuratora, w przeprowadzeniu wizji, w niczym nie będzie przeszkadzała, bo przecież tak naprawdę będzie ją prowadził ktoś z dochodzeniówki. Prokurator będzie jedynie niezbędny do wygłoszenia przed kamerą kilku proceduralnych formułek, umożliwiających procesowe przeprowadzenie czynności.

- Ok, wasza sprawa, – doszedł do wniosku, że nie ma sensu dłużej dyskutować – ale zobacz – tu wskazał na tłum gapiów, którzy coraz głośniejsze i nerwowo komentowali poczynania policjantów – może być gorąco i trzeba natychmiast tych ludzi odsunąć z tego placu.

- Już wydałem polecenie – wtrącił się stojący obok Żeleźnik – jadą z „jedyńki” mundurowi i zaraz tu będą. Zresztą, – zwrócił się bezpośrednio do Holendra – wyciągnijmy nasze towarzystwo z samochodów i zanim tamci nadciągną zrobmy tu trochę porządku.

- Dobra, ja idę po swoich i postawimy nasz radiowóz tak, aby zamknąć tamtą ulicę – Drożdź wskazał na uliczkę, z której właśnie wyłoniła się kolejna grupa gapiów idąca w ich kierunku – wy załatwajcie resztę i to szybko, bo może być, że za chwilę nie dacie sami rady.

Po tych słowach odszedł w kierunku „poloneza”, przy którym oczekiwali, wyraźnie już zniecierpliwieni i trochę podenerwowani narastającym chaosem, jego koledzy. Za moment usłyszał gromkie pokrzykiwania policjantów i gdy się odwrócił zauważył jak spora grupa umundurowanych i cywilnych funkcjonariuszy skutecznie, bo bardzo energicznie, odsuwa do tyłu tłum gapiów.

Po dojściu do samochodu przekazał swoim przyjęte ustalenia i po chwili odjechali na wyznaczone miejsce, gdzie Rylecki po włączeniu koguta ustawił samochód w poprzek drogi. Wyszli na ulicę i zajęli się tłumaczeniem zniecierpliwionym ludziom, dlaczego nie wolno iść na placyk, a bardziej opornych musieli do posłuchu przymuszać groźniejszym słowem i zdecydowaną postawą.

Po jakimś czasie usłyszeli warkot zapalanych silników samochodowych i zauważyli, że kolumna pojazdów, z błyskającymi kogutami, ruszyła w kierunku ulicy Wieniawskiego, będącej główną arterią komunikacyjną tej dzielnicy.

- Zobaczcie, nawet buraki nie dali nam znać przez radio – sarkastycznie skomentował to Walewski – chyba nawet o nas nie pamiętają.

- W porządku, poczekamy chwilę i jedziemy za nimi – ruchem ręki nakazał zajęcie miejsc w samochodzie.

Po chwili oczekiwania, gdy kolumna samochodów zniknęła za zakrętem, ruszyli w tamtym kierunku i szybko ją dogonili, ponieważ, z powodów im nie znanych, cała kolumna zatrzymała się na Alei De Gaulle, około 30 metrów od jej skrzyżowaniem się z Aleją Podwale, ulicą Wieniawskiego i ulicą Jurija Gagarina. Stanęli się za ostatnim pojazdem tej kolumny, próbując przez radio wywołać Holendra bądź Żeleźnika, ale nikt się nie zgłaszał. Drożdż, który z każdą upływającą minutą irytował się coraz bardziej, wyszedł z samochodu i skierował się na czoło kolumny, gdzie ku swojemu zdumieniu zauważył sporą grupę policjantów idących w kierunku znajdującego się w pobliżu kościoła św. Anny. Przyspieszył kroku i po paru minutach dostrzegł prokuratora idącego w towarzystwie Holendra i Żeleźnika, oraz przykutego kajdankami do umundurowanego policjanta Romaniuka. Obok szedł znany mu z widzenia policjant filmujący, sporych rozmiarów kamerą, wszystko to, co działo się na drodze. Gdy zrównał się z nimi, odwołał na bok Holendra.

- Jarek, co się dzieje? – zapytał.

- Nic, zrobiliśmy wizję pod sklepem i w sklepie, a teraz idziemy na miejsce zabójstwa – odpowiedział zadowolony Holender – wszystko idzie jak w zegarku i Romaniuk zachowuje się bardzo spokojnie. Nie stwarza problemów.

- Gdzie idziecie – spytał się zdziwiony - na miejsce zabójstwa? To przecież nie w tym kierunku.

- Jak nie w tym kierunku – tym razem zdziwienie okazał Holender – chyba on wie lepiej, jak szedł i gdzie ją zabił, wiesz o co mi chodzi.

- Ja może wiem, ale czy ty to wiesz, to mam poważne wątpliwości. Zobacz, minęliśmy po drodze dwie polne odnogi odchodzące od Podwala, na których on mógł ją z tym psem spotkać. Na jednej, albo na drugiej. Dalej takich dróg nie ma, a wiem o tym, bo tu mieszkam.

- Ja też tu mieszkam, chyba o tym nie zapomniałeś – Holender nie reagował na jego wątpliwości – ale Romaniuk wie lepiej od ciebie gdzie i jak szedł.

- Oczywiście, ale coś tu nie gra. Jarek, weź do cholery pomyśl trochę i przypomnij sobie, o czym ten człowiek mówił. A raczej, co mówił – poprawił się szybko, chcąc zwrócić zwrócić jego uwagę na kompletny brak logiki w zachowaniu Romaniuka - przecież już wiemy, że dziewczyna szła na łąkę, aby zerwać sobie jakieś kwiaty. Nie pamiętasz? To po kiego miałyby iść pod kościół, kiedy na łąkę prowadzą te polne drogi bezpośrednio z Podwala? Możesz mi to wytłumaczyć?

Po tych słowach, w ogóle ich nie komentując, Holender podszedł do prokuratora i chwytając go za łokieć coś mu powiedział wskazując na Drożdża, a ten ze zrozumieniem pokiwał głową.

Idąc za Holendrem, po chwili zrównał się z grupą w której przebywał Romaniuk, dzięki czemu usłyszał część rozmowy, jaką prokurator prowadził z przykutym do policjanta chłopakiem. Jej treść wprowadziła go w najwyższe zdumienie, bo to, co do niego dotarło, mogło wywołać wrażenie, że chłopak był instruowany

o tym, jak przebiegało zabójstwo dziewczyny. Zdecydował się na natychmiastową interwencję i podszedł do nich.

- Panie prokuratorze, czy mogę prosić o chwilę rozmowy – chwycił go niezbyt delikatnie za rękaw marynarki, co spowodowało, że prokurator odwrócił się jego stroną z wyraźnym zdumieniem na twarzy.

- A pan, co, czego pan chce? – zapytał z irytacją w głosie.

Z uwagi na postawione pytanie, uznając, że prokurator chyba nie zapamiętał jego twarzy przy pierwszej prezentacji sprzed godziny, przedstawił mu się podając stopień, nazwisko i pełnioną funkcję.

- Aa, to pan, przepraszam, ale jakoś zapomniałem – głos prokuratora wskazywał na autentyczne skrępowanie zaistniałą sytuacją.

- Słucham pana.

Odciągnął go na bok i wyluszczył mu pokrótce swoje narastające wątpliwości, co do tego, czy wizja przebiega tak, jak powinna przebiegać. Zwłaszcza, że już w tym momencie znajdowali się w miejscu, gdzie Romaniuk absolutnie nie miał szans na spotkanie się z dziewczyną.

Cała grupa zeszła z asfaltowej wąskiej jezdni, będącej przedłużeniem ulicy Wieniawskiego, prowadzącej do kilku zabudowań gospodarskich i niebyt szeroką polną drogą szła rażno w kierunku widocznego z niedaleka osiedla domków jednorodzinnych przy ulicy Makowej.

- Niech pan zobaczy, gdzie on nas prowadzi – wskazał ręką na widniejące już wyraźnie zabudowania osiedla. To przecież absolutnie nie ma sensu. To nie tu.

- Proszę pana, ja ufam pańskim kolegom, którzy wiedzą dobrze, co robią, przecież to oni prowadzą to śledztwo, czyż nie tak? – prokurator wydawał się być mocno zdziwiony tym co mu, być może zbyt pobieżnie, tłumaczył.

- No tak, oni. Nie mam, co do tego żadnej wątpliwości. Tylko, że ten Romaniuk robi chyba z nas najwyraźniej wała. Panie prokuratorze, w zasadzie to nie moja sprawa, ale niech pan porozmawia z komendantem Holendrem, bo coś mi się wydaje, że wy tutaj nakręcicie materiał dla obrony, a nie oskarżenia.

Po tych słowach pozostawił zaskoczonego prokuratora i udał się na koniec kolumny, gdzie dojrzał jadącego powoli ich „poloneza”. Poczekał aż podjedzie i wsiadł do środka, gdzie od razu został zasypany pytaniami zdziwionych całą tą sytuacją kolegów, którzy również, tak jak on, zorientowali się, że Romaniuk prowadzi ich w kierunku nie mającym żadnego związku z miejscem zabójstwa. Dokładnie zrelacjonował im przebieg rozmowy z Holendrem i prokuratorem, uzupełniając tę relację o swoje komentarze, nie pozostawiające na tych dwóch osobach suchej nitki. Opinie, zarówno Ryleckiego, jak i Walewskiego praktycznie niczym nie różniły od tego, co w gniewie im powiedział. Po krótkiej naradzie uzgodnili, że on z Ryleckim będą towarzyszyć grupie policjantów przeprowadzających z prokuratorem wizję, a Walewski uda się bezpośrednio na miejsce zabójstwa i tam będzie na nich oczekiwał.

Po chwili marszu znaleźli się na tyłach grupy i milcząc szli, jak i pozostałe osoby, tam gdzie prowadził ich Romaniuk. Po jakimś czasie przemaszerowali przez kolonię domków jednorodzinnych przy ulicy Makowej, a następnie po przejściu

ulicy Jaworowej, doszli do dosyć szerokiej, utwardzonej tłuczniem, drogi, prowadzącej do leśnego kompleksu na terenie parku krajobrazowego.

- Zyga, on chyba zaczął nareszcie iść we właściwym kierunku – odezwał się Rylecki.

- Na to wygląda, tylko dlaczego tak kluczył? – ciągle był sceptycznie usposobiony – przecież on w komendzie mówił zupełnie co innego. Przecież miał prowadzić drogą, jaką szedł za dziewczyną, a nie wydaje mi się, aby ona tak szła. To jest po prostu absolutnie niemożliwe. Ale dobrze, niech idą. Zobaczymy, co będzie dalej – pokręcił głową ze zdziwieniem..

Po kolejnych kilkuset metrach kolumna pieszych zatrzymała się, więc podeszli do jej czoła, gdzie prokurator i Holender rozmawiali o czymś zawzięcie z Romaniukiem, który rozglądając się niepewnie wskazywał ręką na otaczające go drzewa. Gdy już doszli do nich, dowiedzieli się, że Romaniuk zablądził i, jak mówi, nie wie, w którym kierunku ma dalej iść. Jego zachowanie i wypowiedane słowa wskazywały wyraźnie na to, że on w ogóle nie wie gdzie się znajduje. Zarówno prokurator, jak i Holender wyraźnie zdenerwowani pokrzykiwali na bezradnie rozglądającego się chłopaka. Niedaleko o nich, trochę jakby z boku, stał milczący Żeleźnik i dwóch jego najbardziej zaufanych pracowników. Pomiedzy nimi, a prokuratorem krążył zaferowany Palka, który nerwowo tłumaczył coś, to Holendrowi, to Żeleźnikowi.

Podeszli do Żeleźnika.

- Co jest, Romek, co tu się dzieje- zwrócił się do niego z widocznym ironicznym uśmiechem na twarzy.

- A ty, z czego się tak cieszysz – Żeleźnik był mocno poirytowany jego reakcją.

- Ano z tego, że tam, jeszcze na Podzamczu mówiłem Jarkowi i prokuratorowi, że coś tu nie gra, że ten Romaniuk chyba was normalnie robi w konia, ale on wiedział lepiej.

- O czym ty mówisz? – zdziwienie Żeleźnika wskazywało na to, że Holender nie przekazał mu zgłoszonych przez Drożdża wątpliwości.

- O tym, że mówiłem i Jarkowi i prokuratorowi, że to gdzie on was prowadzi, nie zgadza się z tym, co mówił w komendzie, no i przede wszystkim z oględzinami tego miejsca, gdzie leżały zwłoki.

- Ja sprawy nie znam, ale Jarek twierdzi, że wszystko jest w porządku – Żeleźnik zafrasowany spojrział na Palkę, który właśnie do nich podeszedł – mi też się to trochę dziwne wydawało, ale.... – przerwał i głośno zwrócił się do nadchodzącego.

- Walek, co oni tam, kurwa, wyprawiają? – użyty wulgaryzm świadczył, że przekazane mu informacje najwyraźniej mocno wyprowadziły go z równowagi.

- Pogubił się i nie wie gdzie dalej iść – odpowiedział również zdenerwowany Palka

- Jak to się pogubił, to co, nagle zapomniał gdzie spotkał dziewczynę? – głos Drożdża wskazywał, że słowa palki absolutnie go nie dziwiły.

- Kurwa, nie Romaniuk, tylko Holender – sprostował go Palka z krzywym uśmiechem na ustach.

- Jak to Holender, to kto, tam kogo prowadzi? – Drożdź mocno już tym wszystkim zde gustowany, wymownie spojrzął na swoich rozmówców, którzy, tak jak i on, zaczęli zdawać sobie sprawę z groteskowości całej sytuacji. Wizja lokalna, która miała być podstawowym materiałem dowodowym dla sądu, uzasadniającym potrzebę aresztu, przemieniła się w żenujące widowisko z udziałem prokuratora i wysokiej rangi oficerów komendy miejskiej.

- Holender, bo on cały czas korygował to, co Romaniuk mówił. No to i doszliśmy do tego miejsca, – wyjaśnił ze złością Palka – ja tam się nie wtrącałem, bo doszłoby do kłótni, a tu przecież Narolski to filmuje. Nie będę się przed kamerą wyklócał.

Z dalszej relacji Palki wynikało, że Romaniuk prowadził ich trasą, którą, według niego, szedł zanim na ścieżce spotkał dziewczynę z psem, ale kierunek marszu cały czas uzgadniał z Holendrem, który krótkimi pytaniami korygował zamiary Romaniuka.

- Jak mogłeś Roman do tego dopuścić – zapytał Drożdź stojącego w milczeniu Żeleźnika.

- A co ja mogłem? Ja sprawy nie znam, to myślałem, byłem przekonany – poprawił się - że Jarek wie, co robi. Zresztą, ty też nic nie mówiłeś, do cholery – zwrócił się nerwowo do Palki.

- Nie mówiłem, nie mówiłem, Zygmunt mówił i co? Sam słyszałem jak z Jarkiem rozmawiał – Palka chciał w ten sposób zmniejszyć swoją odpowiedzialność za to, co się stało, a na co mógł mieć faktycznie duży wpływ.

- Całe szczęście, że nie ma tu nikogo z pismaków – mruknął Drożdź.

- Kto wie, czy zaraz się tu nie zleca, bo na pewno już mają cynk o wizji i założę się, że od Jarka – Palka nie miał złudzeń, co do dyskrecji swojego pryncypała.

- Dobra. Robimy tak – w Drożdża wstąpiła nagle energia, gdyż poczuł, że nastąpił kolejny moment, kiedy będzie mógł pokazać Meryłowi, jak błędne podejmował decyzje i niepotrzebnie wtrącał się w sposoby prowadzenia działań przez jego grupę – ty Roman, z Walkiem zbierzcie to całe towarzystwo w jedno miejsce. Romaniuka odseparujcie gdzieś na boku i niech nikt z nim nie rozmawia, No i niech go dobrze pilnują. A ja pogadam z Holendrem i prokuratorem. Ok?

- Ok, ok – mruknął niewyraźnie Żeleźnik, widocznie mocno już żalujący, że się w to wszystko wplątał.

- Lepiej już było siedzieć sobie w domu, niż narażać się na odpowiedzialność za taką farsę i to na dodatek rejestrowaną w procesowym trybie – dodał w myślach. Drożdź zdecydowanym krokiem podszedł do stojącej nieopodal grupki, z prokuratorem, Holendrem i Romaniukiem w środku.

Panowie – zwrócił się do policjantów pilnujących Romaniuka – zabierzcie go stąd i idźcie do naczelnika, on wam powie, co dalej robić.

- Słuchajcie – skierował się do stojących obok mężczyzn, po utwierdzeniu się, że odchodzący z Romaniukiem policjanci nie usłyszą tego, co będzie mówił – coś mi się wydaje, że zrobiło się wielkie gówno i ciekawe, kto za to odpowie?

- No, ja bym się tak nie wyrażał i nie bardzo wiem, o co ci chodzi – Holender starał się zachować dobrą minę do złej gry.

- Jarek, przestań zalewać. Już wam to mówiłem wcześniej, że robicie panowie hecę, ale pan, panie prokuratorze – zwrócił się twarzą do Śmigaja – nie zechciał mnie posłuchać i co? Dalej jest pan pewien, że moi koledzy wiedzą, co robią? Przecież powinien pan już dawno zareagować.

- Noo, no, wie pan panie inspektorze...

- Podinspektorze – poprawił.

- Tak, tak, panie podinspektorze, ja się orientuję, że coś tu nie jest tak, jak być powinno, ale pan komendant – prokurator wskazał wymownie na Holendra – zna przecież sprawę najlepiej i zapewniał mnie, że wszystko jest w porządku.

- Według mnie, to on dobrze prowadzi, bo tą drogą musiał iść, aby dojść tam do tej ścieżki z murkiem, gdzie dziewczyna siedziała – Holender na siłę starał się utrzymać prokuratora w przekonaniu, że panuje nad sytuacją i wszystko przebiega normalnie.

- Tak, no to, w czym problem? – spytał Drożdż, udając zdziwienie.

- On twierdzi, że tą dziewczynę znalazł w tym miejscu – odezwał się zniecierpliwiony prokurator – i to mi się jakoś dziwne wydaje.

- Co? On tu ją znalazł? Przecież to kompletna bujda jakaś – nie krył zaskoczenia, bo takiego obrotu sprawy się nie spodziewał.

- Mówi, że spotkał ją na tej drodze, to znaczy, że jak szedł z tym piwem, to zobaczył, jak ona leży na tej drodze i uciekł – uściślił Prokurator.

- I co? Macie to nagranie na taśmie? A to się obrońca ucieszy. Mówiłem, że tak będzie – nie krył złośliwej satysfakcji – przecież my znajdujemy się na drodze prowadzącej w kierunku zamku Książ, a dalej na Ciernie chyba, a Podzamcze mamy, o tym – wyciągnął rękę – na skos w prawo za waszymi plecami.

- Lasu nie widzicie? - pytał dalej nie ukrywając już wcale złośliwego tonu – Przecież zwłoki zostały znalezione w miejscu, przy łące, za którą widać było budynki Podzamcza. Więc, gdzie wy tu je widzicie? Panu prokuratorowi się nie dziwię, bo nie był na miejscu, ale tobie Jarek? Przecież tam byłeś – mimo że było mu żal kolegi, punktował bezlitośnie wszystkie błędy.

- Na szczęście, przed tą wypowiedzią, że tu ją znalazł, przerwałem na moment wizję, bo coś mi się już nie zgadzało – z wyraźnie słyszalną ulgą w głosie odezwał się prokurator.

No to przynajmniej tyle dobrego – skwitował ironicznie słowa prokuratora.

- Dawajcie go tu - krzyknął do pilnujących Romaniuka policjantów.

Kiedy go podprowadzili zauważył, że chłopak trząsał się ze strachu, jakby wyczuwał kłopoty, w jakie wpędził policjantów i prokuratora, którego nie wiedząc czemu, bał się chyba najbardziej. Nie bardzo się orientował, czego oni od niego jeszcze chcą. Miał pokazać miejsce, gdzie ta dziewczyna leżała i to miało być na dzień dzisiejszy wszystko. Z tego, co mu opowiadali, to leżała ona na drodze w lesie. To im pokazał tą drogę w lesie, a oni teraz na niego krzyczą i wyzywają go, grożąc, że z więzienia nie wyjdzie do końca życia, a bandyci będą go stale gwałcić. Im bardziej zbliżał się do tych ważnych policjantów i prokuratora, tym jego przerażenie narastało, można by powiedzieć, że w postępie geometrycznym. W momencie, gdy stanął przed nimi, był już w stanie wyraźnie granicznym z niemożliwością utrzymania moczu, co też po chwili stało się widoczne na jego

spodniach. Przewyciężając płacz, nie miał nawet odwagi spojrzeć w ich stronę i w milczeniu oczekiwał na to, co będzie się dalej działo. Było mu już wszystko obojętne i był gotowy przyznać się do wszystkiego, nawet do tego, że zabił tą dziewczynę, jeżeli tylko będą tego od niego wymagali. Chciał już iść do domu i zapomnieć o tym, co go przez te kilka dni tak zupełnie niespodziewanie spotkało.

- Alek, co ty tu za bzdury opowiadasz – Drożdź zwrócił się do niego po imieniu, aby przynajmniej na moment wywołać atmosferę pewnej konfidencjonalności, co zawsze dobrze wpływało na zatrzymanych.

- Ja, ja - zaczął się jąkać ze strachu Romaniuk – ja, nic nie kłamię, ja tu ją spotkałem, w tym lesie, tu na drodze – wskazał dłonią ziemię pod jego stopami – tu leżała, mówię prawdę, mówię, jak było proszę pana.

- Gdzie leżała, tu? – Drożdź z wyraźnie widocznym zdziwieniem wskazał pod nogi Romaniuka.

- Tak, tu leżała i ja ją przykryłem krzakami. Narwałem tam krzaków – pokazał na krzaki rosnące przy znajdującej się przy drodze drucianej siatce ogrodzenia, które odgradzało sporych rozmiarów łąkę od reszty terenu – i tu ją przykryłem.

- Tak było, naprawdę, ja tu ją znalazłem i leżała ona.... Tu leżała ... powtarzał nerwowo łapiąc co chwile głębokie oddechy i rozglądając się dookoła, jakby szukał kogokolwiek, kto mógłby mu uwierzyć i pomóc w tej przerażającej dla niego sytuacji, w jakiej się niespodziewanie znalazł. Jego zachowanie wskazywało na skrajnie wyczerpany psychicznie, co bardzo Drożdża zaniepokoiło.

- Alek, człowieku, nie opowiadaj takich historii. To jest przecież szeroka droga do stacji uzdatniania wody i stawu, gdzie chodzi wielu ludzi i chcesz nam powiedzieć, że nikt jej nie zauważył przez tyle godzin. Alek, pomyśl trochę, może przypomnisz sobie jak to było – mówił do niego spokojnym i łagodnym tonem, starając się wywołać w nim chęć do dalszej współpracy, a przede wszystkim uspokoić chłopaka, który w jego ocenie znajdował się na granicy hysterii. A wybuchu hysterii obawiał się w tym momencie najbardziej.

- Alek, weź i się rozejrzyj, może sobie coś przypomnisz – groźnie odezwał się Holender, ku niezadowoleniu Drożdża, który starał się ze wszystkich sił, aby tego zasikanego ze strachu chłopaka uspokoić. Groźne i niepotrzebne w tej chwili słowa Holendra wywołały kolejną bardzo nerwową reakcję Romaniuka, który chyba w odruchu desperacji szarpnął się, jakby chciał wyrwać się pilnującym go policjantom.

- Alek, ty w ogóle wiesz gdzie się znajdujesz. Byłeś tu kiedykolwiek – Drożdź zdawał sobie sprawę, że chłopak nie ma pojęcia gdzie jest i nigdy nawet w tym rejonie prawdopodobnie nie był.

- No, na Podzamczu jestem przecież – cicho odpowiedział Romaniuk – tu niedaleko mieszka mój wujek – Romaniuk niepewnie rozglądał się wkoło, szukając wylęknionym wzrokiem tak znany mu dobrze jedenastokondygnacyjny budynek, stojący przy placu, gdzie kupował sobie piwo i papierosy. Widok budynku przyniósłby mu ulgę i uspokojenie, jednak ku jego przerażeniu nigdzie nie mógł go dostrzec. Stał na środku leśnej drogi i żadne zabudowania nie znajdowały się w zasięgu wzroku. Jego postawa i zachowanie wskazywały na całkowite zagubie-

nie i bezradność wywołaną nagłą świadomością, że tak naprawdę, to w ogóle nie ma pojęcia gdzie się znajduje.

Świadomość sytuacji w jakiej się znaleźli nakazywała Drożdżowi podjęcie jakiejś natychmiastowej decyzji, aby to wszystko jakoś opanować i postawić wreszcie na nogach. Chociażby miało by to doprowadzić do ostrego starcia z Holendrem.

- Dobra, panowie – zwrócił się do policjantów stojących po obu stronach Romaniuka – odprowadźcie go do samochodu i czekajcie na dalsze dyspozycje.

- Samochody zostały na Podzamczu – poinformował go Holender.

- No to wezwijcie jakiś, niech tu przyjedzie i go schowajcie – zirytował się nagle, ponieważ cała ta przedziwna sytuacja zaczęła go ponownie denerwować.

- Jarek – zwrócił się do Holendra – ty w ogóle byłeś na miejscu i wiesz gdzie to jest? – zwrócił się z ponownie wyraźnie wyczuwalną ironią - Bo mam wrażenie, że i ty nie masz pojęcia, gdzie doszło do zabójstwa. Nie dziwię się panu prokuratorowi, ale ty?

Holender skinął na niego dłonią i bez słowa odszedł parę metrów na bok, pozostawiając zdziwionego prokuratora na środku drogi. Poszedł więc za nim i zatrzymali się koło metalowej siatki, przy której rosły gęste krzaki, które rzekomo miał łamać Romaniuk.

- Słuchaj – Holender mówił ściszym głosem, tak jakby obawiał się, że usłyszy go stojący dobre kilka metrów dalej prokurator – ja na miejsce dojechałem samochodem i nie bardzo się rozglądałem, jak tam dojść, czy dojechać. Rozumiesz, o co mi chodzi. No to i teraz wiem, że to nie to miejsce, tylko kurwa, nie wiem jak tam stąd trafić. Jak wiesz, to prowadź, bo musimy tę wizję jeszcze dziś skończyć, a zaraz będzie się ściemniać.

Drożdż przez chwilę zastanawiał się ma co zrobić, zdając sobie doskonale sprawę z tego, jaką wartość dowodową będzie miał materiał z wizji lokalnej przeprowadzonej w ten sposób. Wiedział, co będzie się działo, gdy się okaże, że na miejscu zabójstwa nie doprowadził zatrzymany tylko policjant, który tym samym wskazał mu, gdzie to miejsce się znajduje. Każdy, nawet najmarniejszy papuga dowód taki przemiele, jak przez maszynkę od mięsa i narazi nie tylko na śmieszności tych, co wizję przeprowadzali, ale i tych, co uznali zatrzymanego za sprawcę zabójstwa. Jednakże w tej sytuacji musiał coś rozsądnego postanowić, aby wyjść z tego z twarzą i nie skompromitować się w oczach nie tylko prokuratury, ale i przełożonych. Zdawał sobie doskonale sprawę, że mimo zakazu Meryła, musi podjąć decyzję i narzucić ją Holendrowi, bo tylko w taki sposób może jeszcze uratować sens prowadzonych czynności, bo w innym przypadku całe odium niesławy spadnie na niego, ponieważ dobrze wiedział, że Meryl się wszystkiego wyprze, a komendant to jemu, a nie Meryłowi, zada tylko jedno pytanie: a co ty tam człowieku w ogóle robiłeś? I żadnego tłumaczenia nie będzie nawet chciał wysłuchać. Takie coś nie miało prawa się wydarzyć i nigdy w jego bogatej karierze kryminalnej się nie przydarzyło. Musiał więc szybko znaleźć jakieś skuteczne rozwiązanie, aby uratować nie tylko sytuację ale i własną głowę. Nie chciał utracić zaufania, jakim zaczął darzyć go od pewnego czasu nadzorujący wydział kryminalny, zastępca komendanta wojewódzkiego, Adam Kukuryka, z którym się wcześniej nigdy nie spotkali i dopiero powolutku zaczęli się poznawać.

- Dobra – odezwał się po chwili milczenia – robimy tak. Ty odsyłasz całą tę zgrają razem z Romaniukiem, tam na skrzyżowanie, gdzie zostały samochody. Jak tam dotrą, to niech Palka jeszcze raz rozpocznie wizję od momentu, gdy spotyka dziewczynę na tym murku. To mamy przecież na papierze, bo tak zeznawał, więc ten cholerny murek mu pokażcie i niech dalej sam prowadzi i mówi jak było. Bo przecież wizję możecie od tego nieszczęsnego murka prowadzić. Tylko, niech mu nikt nic, na pana Boga miłego, już nie podpowiada. I niech wizją kieruje Palka, bo ani Żeleźnik, ani prokurator, nie mają o sprawie zielonego pojęcia, więc niech robią, co do nich należy, ale niech kieruje tym Palka. Rozumiesz, o co mi chodzi? – użył sarkastycznie i złośliwie powiedzonka Holendra, czego ten w ogóle nawet nie zauważył.

- Dobra, rozumiem – prawie posłusznie potwierdził Holender, doskonale zdający sobie sprawę, że w tej sytuacji musi go posłuchać, bo innego wyjścia już nie ma – Ale co my będziemy robić? – Holender nerwowo rozglądał się nerwowo, jakby chciał ujrzeć natychmiast miejsce kaźni dziewczyny.

- My, to znaczy ja, - odezwał się Drożdż z wyraźną nutą sarkazmu - zaprowadzę cię na to miejsce i tam poczekamy, aż oni dotrą do nas. Jakoś to wyprostujemy i damy radę, nie martw się – niespodziewanie dla siebie pocieszył Holendra Po chwili zawołał Ryleckiego, aby przekazać mu treść poczynionych uzgodnień. Nakazał mu wezwać przez radio Walewskiego, aby przyjechał tu, by zabrać go na miejsce, gdzie znaleziono zwłoki dziewczyny.

-Tylko uważajcie, aby to towarzystwo nie widziało gdzie jedziesz – nie chcąc by usłyszał to Holender, znacznie ściszył głos – bo oni gotowi są kazać Romaniukowi iść tam gdzie pojechał „polonez”, a ten głupek tak pójdzie. Zresztą on pójdzie wszędzie tam, gdzie oni mu każą pójść. Coś tu wyraźnie nie gra – mruknął pod nosem.

- Dobra, wiem, co jest grane. Ale cyrk, nie uważasz? – Rylecki uśmiechał się z widoczną wyraźną satysfakcją, wynikająca z faktu, że lekceważący ich obecność podwładni Holendra, kręcą się jak ślepe kocięta i nie mają pojęcia, co robić z tym całym bałaganem.

- Ano, cyrk, ale przynajmniej my jakoś się postaramy. Jedź już, szkoda czasu – ponaglał go niecierpliwie.

- Zyga – Rylecki zatrzymał się na chwilę – coś tu kurwa śmierdzi. Dlaczego oni się tak idiotycznie zachowują?

- Też się nad tym zastanawiam. Zobaczymy, jak to się rozwinie. Jedź już i czekajcie na mnie przy tej ścieżce, gdzie ona leżała.

Ok - Rylecki machnął ręką i szybko się oddalił rozmawiając przez radiostację z Walewskim, któremu w skrócie opowiedział, co działo i dzieje się od momentu rozstania.

- Bogdan, to się nadaje na film, do komedii jakiejś, chłopie – komentował prawie z rozbawieniem – Holender o mało się nie zesrał z nerwów, jak się okazało, że ten dupek pokazał, gdzie ją zabił.

- Andrzej, nie nadawaj, bo cię słychać – Walewski przypomniał mu, że mogą to słyszeć i w komendzie i ci z grupy biorącej udział w wizji.

- A niech słuchają, zresztą gadamy na naszym kanale.

- No tak – potwierdził Walewski, – ale pogadamy jak przyjadę. Będę za 10 minut. Czekać tam przy drodze. Ok?

- Ok – Rylecki wsadził radiostację do kieszeni kurtki i usiadł na sporym przydrożnym kamieniu, w spokoju oczekując na przybycie kumpla.

W tym samym czasie Drożdż i Holender szli wąską leśną dróżką prowadzącą, wzdłuż drucianego płotu, do widocznego już poprzez drzewa Podzamcza. Po drodze minęli dwa znajdujące się po lewej stronie w budowie domy jednorodzinne, gdzie po podwórku jednego z nich biegały dwa sporej wielkości psy.

- Jarek, który to został zgwałcony – zapytał wskazując na przyjaźnie machające ogonami psiska.

- Sznaucer, no to chyba ten czarny, większy – Holender podszedł do ogrodzenia i poglaskał łaszącego się przymilnie czarnego psa, bez obawy wkładając palce w oczka siatki.

- Zobacz, jaki on łagodny. Jakby mnie znał.

- Widzę, ale wiesz co? Może by tak tu przyprowadzić tego dupka? Może go pies rozpozna? Jak myślisz? - poważnie zastanawiał się przez moment, czy takiego eksperymentu nie warto przeprowadzić.

- Myślałem o tym, ale zrobimy to, jak już będziemy mieli na niego areszt. Zresztą musimy poczekać na badania DNA, bo to może wcale nie mieć związku z Romaniukiem, wiesz, o co mi chodzi.

- Oczywiście, masz rację – uśmiechnął się szeroko uzmysławiając sobie błyskawicznie, że od dłuższego czasu jest to chyba pierwszy przypadek, gdy bez zastrzeżeń zgadza się z tym, co mówi Holender.

Kilkadziesiąt metrów dalej minęli niewielką polankę, na której przy śladach po wygaszonym ognisku, siedziało trzech meneli popijających z butelki tanie wino, zwane tu powszechnie mózgojebem.

Holender zatrzymał się przy nich i po dokładnym zlustrowaniu sylwetek i twarzy zdziwionych jego zachowaniem mężczyzn, zapytał:

- Wy tak panowie, to często tu urzędujecie?

- A co, facet, coś nie pasi? – opryskliwie odezwał się jeden z nich przypatrując się im z wyraźną niechęcią i wrogością.

- No, koleś nie unoś się tak, jak cię pan policjant grzecznie pyta – błyskawicznie zareagował Drożdż pokazując legitymację z policyjną blachą na wierzchu, co z miejsca wywołało oczekiwaną reakcję i mężczyzna uśmiechnął się szeroko.

- Aaaa, panowie z policji, no to trzeba było tak gadać od razu. Nie, my tu raczej tak przypadkowo jesteśmy – mężczyzna podniósł się z pniaka, na którym siedział i podszedł do nich tak blisko, że owiał ich przykrym dla nozdrzy odorem przetrawionej, najtańszej chyba, nalewki na spirytusie, przemieszanym z tytoniowym smrodem, wydobywającym się z ust ich rozmówcy. Obydwaj odruchowo cofnęli się nieznacznie do tyłu, co jednak uszło chyba uwadze mężczyzny.

- A nie byliście tu przypadkiem – Holender chciał zapytać się o dzień, kiedy zamordowano dziewczyn, ale menel wszedł mu znienacka w słowo.

- Nie, panie władzo, nas tu wtedy nie było. To znaczy, jak ta dziewczyna została zabita – uściślił – bo nas wtedy na wytrzeźwiałkę psy ..., o pardom – uśmiechnął

się krzywo – znaczy się, panowie policjanci zabrali po południu. I byliśmy tam do rana, można sprawdzić – zastrzegł się od razu.

- Dobra, dobra, jakbyście czegoś się dowiedzieli, to wiecie, co macie zrobić – Drożdż starał się zakończyć to spotkanie, zdając sobie sprawę, że wyraźnie wstawieni faceci nie szczególnego im nie powiedzą, tym bardziej, że w jednym nich rozpoznał byłego funkcjonariusza walbrzyskiej Służby Bezpieczeństwa, który porozumiewawczo mrugnął do niego, dając mu znak, aby ich znajomości nie ujawniał. Z zachowania Holendra wynikało, że człowieka tego nie zna, ani też z niczym nie kojarzył. Odchodząc z tego miejsca pomyślał, że będzie musiał się z nim koniecznie spotkać, tym bardziej, że wiedział gdzie go będzie mógł znaleźć. Był to jeden z naprawdę niewielu byłych esbeków, którzy w nowej rzeczywistości nie potrafili się odnaleźć i zatracali się w oparach alkoholizmu, wyrzucając z pamięci swoją zawodową przeszłość. Zdziwił się, że wcześniej o nim nie pomyślał, jako o kimś, z kogo mógłby mieć jakiś pożytek w postaci dobrego źródła informacji. Przecież kiedyś znali się dosyć dobrze, a nawet chyba byli ze dwa, lub trzy razy na jakiejś imprezie towarzyskiej.

Z rozmyślań tych wyrwał go głos Holendra.

- Ty, trzeba było ich przynajmniej wylegitymować – w jego głosie zabrzmiała wyczuwalna nuta pretensji.

- A po kiego grzyba? – skrzywił się - znam tych meneli z Podzamcza i zawsze, w razie czego, można do nich dotrzeć.

- Myślę, że jednak trzeba ich spisać – nie dawał za wygraną Holender.

- Ok, to idź i spisuj ich, jeżeli w ogóle będą mieli jakieś papiery, ale myślę, że lepiej będzie jak się tu rozejrzysz. Zobacz, widać już osiedle - wskazał ręką na prześwitujące między drzewami bloki, znajdujące się jakieś kilkaset metrów, może kilometr, przed nimi.

- A, to już wiem gdzie jestem – wyraźnie ucieszył się Holender – no tak, to tamta droga, teraz poznaję.

Holender ruszył zdecydowanie w kierunku widocznej już, szerokiej drogi polnej, wyraźnie rozpoznając miejsce, z którego nie daleko było do ścieżki, na której znaleziono zwłoki. Zauważył to też Drożdż i kontestował z pewnym rozbawieniem, że Holender złapał wiatr i stał się nagle bardzo samodzielny. Szli w milczeniu mijając po drodze kolejne ślady niedawno wygaszonego ogniska, przy którym zabawiała się w dniu zabójstwa grupa młodzieży z Podzamcza. Zostali przesłuchani w dniu znalezienia zwłok, ale nie byli w stanie wnieść cokolwiek istotnego. Bawili się w nocy i niczego podejrzanego nie widzieli, ani też nic nie słyszeli. Po zakończonej piwnej imprezie zeszli do zaparkowanych niżej samochodów i nikt ścieżką, na której leżała dziewczyna nie chodził.

Po paru minutach marszu znaleźli się na miejscu. Na lekko gliniastej czarnej ścieżce widoczne jeszcze były wyraźne ślady krwi oraz wgłębienie, będące odwzorowaniem tylnej części głowy wgniatanej w ziemię kolejnymi uderzeniami kamienia. Drożdż wyjął telefon komórkowy chcąc powiadomić kolegów, że są już na miejscu, gdy ze zdumieniem usłyszał gwar głosów dochodzących z kierunku, z którego oni przed kilkoma minutami sami przyszli.

- Jarek, co to ma znaczyć? – zwrócił się do również wyraźnie zaskoczonego Holendra – kto im kazał iść za nami? Przecież inaczej się umawialiśmy.

- Nie ma pojęcia, coś się musiało Palce pomieszać. Przecież słyszał chyba wyraźnie, jakie były moje dyspozycje i przecież Żeleźnik tam był. Ja ich kurwa pogonię chyba za to – Holender z widocznym na twarzy zdenerwowaniem ruszył w kierunku grupy, która pojawiła się nagle u wylotu ścieżki. Na czele grupy szedł prokurator z Żeleźnikiem. Z tyłu, w otoczeniu kilku policjantów, widać było Romaniuka idącego ze spuszczoną głową, tak jakby już go nic nie interesowało. Za chwilę Holender, już w towarzystwie całej tej świty, podszedł do niego z szerokim uśmiechem i klepnął go lekko po ramieniu.

- Zyga, wszystko jest ok. Oni już sprawę załatwili i żadnego problemu już nie powinno być. Rozumiesz o co mi chodzi?

- No, nie bardzo jakoś – skrzywił się – Wiesz, zastanawiam się, jak udokumentujesz procesowo drogę, jaką od sklepu do tego miejsca wskazał Romaniuk. Chłopie, co wy wyprawiacie – jego zdenerwowanie rosło w miarę wypowiedzanych słów. Nie mogło mu się pomieścić w głowie, że ktoś podjął tak idiotyczną decyzję. Przecież każdy adwokat wyłapie, że w trakcie wizji, do miejsca zabójstwa, podejrzany prowadził w taki sposób, że ofiary absolutnie na swojej drodze spotkać nie mógł. No i że na miejsce zbrodni został po prostu przez policjantów i prokuratora przyprowadzony. Nagranie z wizji będzie mocnym dowodem, że Romaniuk w trakcie jej realizacji był wyraźnie manipulowany przez funkcjonariuszy i odpowiedzialnego za to prokuratora.

- Wszystko jest pod kontrolą, a za przebieg wizji odpowiada prokurator – Holender wskazał na rozmawiającego o czymś z Romaniukiem prokuratora – i on decyduje o tym, jak ona ma być prowadzona. Rozumiesz, o co mi chodzi.

- Wiesz co, to ja walę taką robotę. Bawcie się sami, a ja ze swoimi jadę do domu, bo za ten bajzel nie mam zamiary brać odpowiedzialności.

- Rób co chcesz. Sprawa jest prosta jak kopulowanie – zaśmiał się z dowcipu Holender – my nie będziemy marnować czasu, bo za niedługo będzie już ciemno – wskazał na szarzejące już z wolna niebo. Po tych słowach odszedł do grupy swoich podwładnych, którzy w wyraźny już sposób dawali znać, że są przygotowani do kontynuowania wizji.

Drożdź wyjął z kieszeni telefon komórkowy i skontaktował się z Ryleckim, od którego dowiedział się, że samochód pozostawili przy kościele, a na miejsce idą z Walewskim piechotą.

- Jak wyjdiesz z lasu, to nas zobaczysz, bo my już cię prawie widzimy – poinformował go Rylecki.

Po paru minutach spotkali się na skraju zagajnika, gdzie wśród drzew ekipa Holendra uwijała się przy wizji. Poinformował ich szczegółowo o tym, co się wydarzyło i jakie ma na ten temat zdanie. W trakcie rozmowy zauważyli, że od strony Podzamcza, poprzez łąki, zmierza w ich kierunku spora grupa mężczyzn i kobiet, a nawet dzieci.

- Cholera, zobaczcie ilu ich jest, – Walewski wskazał na grupę około 30 ludzi znajdujących się prawie kilkanaście metrów od miejsca, w którym stali.

- Andrzej, chodź ze mną, to ich zatrzymamy, a ty Zyga leć do Holendra, - Walewski wiedział, że tylko Drożdź jest w stanie cokolwiek Holendrowi zasugerować - Niech da paru ludzi mundurowych, bo sami nie damy rady.

Podporządkowując się propozycji kolegi, szybko podszedł do znajdującego się między drzewami Holendra i poinformował go o kolejnym zagrożeniu, na co ten zareagował niespodziewanie szybko i zdecydowanie. Nakazał Palce zabrać wszystkich cywilnych i mundurowych, którzy bezpośrednio przy wizji nie mieli nic do roboty i zabezpieczyć teren w odległości do kilkudziesięciu metrów od miejsca prowadzonych czynności. Przy Romaniuku, poza nim i prokuratorem, pozostał Żeleźniak, dwóch policjantów z eskorty, oraz trzech dochodzeniowców zabezpieczających wizję od strony technicznej, a także kamerzysta z wydziału kryminalistyki.

Po odejściu Palki z grupą wyznaczonych policjantów, Drożdź został na miejscu zaintrygowany przebiegiem wizji. Przyglądając się temu, co robią i przysłuchując się zadawanym Romaniukowi pytaniom, czuł jak mu się powoli włosy na głowie się jeżą. W całym swoim zawodowym życiu dziesiątki razy brał udział w wizjach lokalnych, w sprawach, które jego wydział prowadził do skutecznego końca, ale jeszcze takiej amatorszczyzny, wręcz głupoty prowadzących, nie widział nigdy. Ludzie, których zadaniem było udokumentowanie przebiegu zabójstwa, zachowania się domniemanego sprawcy i ofiary, wszystkiego tego, co mogłoby mieć dowodowe znaczenie i na czym później sąd mógłby się opierać przy ferowaniu wyroku, robili wszystko, aby zaprzeczyć wszelkiej procesowej logice i zdrowemu rozsądkowi w ogóle.

- Niech pan pokaże, czy w tym miejscu zaatakował tę kobietę – prokurator mówiąc to wskazywał na zakrwawione wgłębienie na ścieżce, wyraźnie sugerując Romaniukowi, że atak nastąpił w tym właśnie miejscu.

- Tak, w tym miejscu zaatakowałem tą kobietę – posłusznie i cicho odpowiedział zapytany.

- Proszę głośniej i proszę mówić do kamery – prokurator, przy aprobacie Holendra, upomniał Romaniuka – to wszystko musi być wyraźnie nagrane, czy zdaje sobie pan z tego sprawę?

W odpowiedzi Romaniuk kiwnął głową, na co już prokurator, ani nikt z obecnych nie zareagował.

- Tymi gałęziami nakrył pan zwłoki i czy zerwał je pan z tych krzaków? – ni to pytał, ni stwierdził prokurator, wskazując ręką na gęste krzewy rosnące między drzewami, wzdłuż ścieżki.

- Tak – jednym słowem odpowiedział Romaniuk.

- Proszę to opisać – ponownie pouczył go prokurator stanowczym głosem.

- Zerwałem te krzaki – Romaniuk wskazał na najbliższą kępę - i nakryłem zwłoki – w tym momencie Romaniuk podniósł leżącą w pobliżu gałąź i położył na ścieżce w miejscu gdzie widać było zakrwawione wgłębienie.

- Chryste panie, co oni robią? – Drożdź w myślach łapał się za głowę. Przecież te gałęzie zostały narwane dokładnie po przeciwnej stronie ścieżki, co wcześniej sam stwierdził po świeżych śladach łamania. Jego zadumę przerwał policjant niosący sporych rozmiarów manekin, mający markować zwłoki dziewczyny.

- Dobrze, że chociaż ktoś o tym pomyślał – zdał sobie nagle sprawę, że i jemu samemu umknął jakoś ten niezbędny dla wizji szczegół.

Po chwili manekin leżał ułożony w taki sposób, aby jego głowa znajdowała się nad znajdującym się na lekko gliniastej ścieżce niewielkim wgłębieniem, które najprawdopodobniej powstało w wyniku zadania kamieniem kilku ciosów w głowę dziewczyny.

Prokurator przystąpił do dalszego przepytывania Romaniuka.

- Proszę powiedzieć i pokazać, w jaki sposób zaatakował pan ofiarę.

Romaniuk stał bez słowa i bezradnie rozglądał się wokół jakby nie wiedział, co ma zrobić i powiedzieć. Czujny na wszystko od pewnego momentu prokurator szybko przyszedł mu w sukurs.

- Czy uderzył pan ofiarę tym kamieniem? – wskazał na leżący z boku ścieżki sporych rozmiarów kamień, tak jakby nie zdawał sobie sprawy, że kamień, jaki został użyty przez sprawcę leży w foliowym worku w jednym z pokoi komendy, zabezpieczony jako dowód rzeczowy.

Romaniuk przez chwilę przyglądał się wskazanemu kamieniowi, a następnie kiwnął głową potwierdzając słowa prokuratora.

- Niech pan to powie głośno i wyraźnie do kamery – tym razem to Holender zadbował o właściwe zachowanie się podejrzanego.

- Tak, tym kamieniem – głośno odpowiedział Romaniuk.

- Proszę to pokazać – ponownie odezwał się Holender, zapominając jakby, że to prokurator jest uprawniony do przeprowadzenia wizji i wszelkich innych czynności procesowych, które się z wizją wiązały.

Jednak Romaniuk, jakby tego nie słyszał, stał nie wykonując żadnego gestu i dopiero widząc zniecierpliwienie towarzyszącej mu grupy, powiedział niespodziewanie głośno i wyraźnie, że tego jak kobietę uderzył w głowę nie pamięta, co wywołało widoczną konsternację prokuratora i Holendra. Drożdż zauważył, bez zdziwienia zresztą, że w całej tej wymianie zdań udziału nie bierze Żeleźnik, który przez cały czas stał w milczeniu z boku. Jego zachowanie, a zwłaszcza pojawiające się na twarzy grymasy, wskazywały na rosnące zakłopotanie i rozterkę, co do tego, jak powinien, a jak musi się zachować.

- Nie zazdroszczę ci Romciu, ale masz to, do czego dopuściłeś brakiem zdecydowania – pomyślał, przypominając sobie kilka wcześniejszych z nim rozmów, podczas których zwracał mu uwagę, że to on, a nie zastępca komendanta ma być najważniejszym na miejscu każdego zdarzenia. Jednakże, mimo że za każdym razem Żeleźnik przyznawał mu rację, sytuacja powtarzała się niezmiennie i ważniejszymi działaniami prowadzonymi przez policjantów przy głośnych przestępstwach, osobiście kierował Holender, zapominając, że nie jest już naczelnikiem wydziału kryminalnego, a zastępcą komendanta dużej przecież komendy. Żeleźnik godził się na to prawdopodobnie dla świętego spokoju, wiedząc, że po jakimś czasie zapal Holendra opadnie, co następowało w miarę upływu czasu, a zwłaszcza w sytuacji gdy nie było kogokolwiek, komu można by postawić jakiś zarzut. Holender doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że Żeleźnik i tak wiele spraw załatwia na swój sposób, nawet niejednokrotnie wbrew jego zleceniom, ale nawet

gdy się zorientował, to jednak nie dawał po sobie tego poznać. Znal go i ufał mu, wiedząc, że się na swojej robocie zna.

Drożdź przyglądając się temu, co działo się na ścieżce, zdecydował się jeszcze raz na interwencję. Podszedł do Holendra i stanowczym, ale ściszym głosem poinformował go, że to, co tu robią to skandal, ponieważ wszelkie ślady wskazują, że dziewczyna została zaatakowana na łące, tam obezwładniona i zgwałcona, a następnie przeciągnięta na ścieżkę, gdzie sprawca faktycznie ją zabił uderzając kamieniem w głowę. Logika wskazuje więc na to, że wizja powinna być rozpoczęta na ścieżce prowadzącej przez łąkę do tego zagajnika. A wydarzenia w zagajniku winny być jej zwieńczeniem. Przypomniał mu też, że kamień ten został zabezpieczony i znajduje się w komendzie, więc to, co tu pokazuje pod ich dyktando Romaniuk, to jedna wielka komedia, z której będą się kiedyś tłumaczyć. Po tych słowach odszedł w kierunku łąki, na której Rylecki z Walewskim, w towarzystwie innych policjantów starali się zapanować nad sporym tłumem wydającym z siebie głośnie i groźne pomruki z lekka napierając na wstrzymujących go policjantów. Pośród wymownie gestykulujących ludzi widział uwijającego się nerwo Palkę, który widocznie postanowił osobiście wpłynąć na ten rozgorączkowany i coraz bardziej niebezpieczny tłum.

Podszedł do Ryleckiego i gestem przywołał do siebie Wawelskiego, który akurat odprowadzał jakąś wykrzykującą coś paniusią z pinczerem na rękach.

- Tak, tak, ma pani zupełną rację, ale proszę teraz odejść na bok, albo w ogóle udać się do domu. Jeszcze pani psa zgubi i będzie kolejne nieszczęście, proszę panią, jak go ludzie zadcpczą – perswadował cierpliwie kobiecie, która z oporami dała się jednak wyprowadzać w kierunku Podzamcza. Po chwili, pozbywszy się kobiety, podszedł do oczekujących na niego kolegów.

Odeszli parę metrów na bok i wówczas przekazał im to, co widział i usłyszał, opatrując to cierpkim komentarzem, nie pozbawionym złośliwych uwag pod adresem Holendra. Zaaferowany całą tą sytuacją nie zauważył nawet, że podszedł do nich i z uwagą przysłuchuje się temu, co mówi, jeden z podwładnych Żeleźnika, Tadek Snopkiewicz, który jako słuchacz drugiego roku szkoły oficerskiej, od kilku dni przebywał na stażu w swoim macierzystym wydziale.

- Zygmunt – zwrócił się do Drożdża – żebyś ty słyszał, co oni mu mówili, jak szli na tę cholerną łąkę. To bracie kryminał. Dobrze, że to nie ja za to odpowiadam. Spełniając ich prośbę Snopkiewicz, ze szczegółami opowiedział o tym, jak Romaniuk w drodze na to miejsce, był instruowany przez Mariana Pawłowskiego, w obecności prokuratora i milczącego uparcie Żeleźnika.

- Wiecie, oni mu powiedzieli praktycznie wszystko. Jak doszło do zabójstwa, jak zachowywał się sprawca i nie wiem dlaczego naczelnik w ogóle na to nie reagował.

- Twój naczelnik przecież sprawy nie zna, bo był na wczasach i dziwię się, co on tu robi – w głosie Wawelskiego słychać było wyraźnie wyczuwalną niechęć, jaką żywił on do Żeleźnika od czasu głośnej przed rokiem afery. W jej wyniku Walewski został przeniesiony z wydziału kryminalnego do komisariatu w pobliskim Boguszowie-Gorcach, niewielkim miasteczku leżącym o kilka kilometrów od Wałbrzycha, gdzie dziwnym zbiegiem okoliczności wyznaczano mu nad wyraz

częste, nocne, piesze służby patrolowe. Tylko Drożdżowi mógł zawdzięczać, że poszukując kogoś do swojego zespołu, przekonał przełożonych w komendzie wojewódzkiej, że Walewski, jako były jego podwładny będzie cennym dla zespołu nabytkiem.

Zdarzenie, które w znaczący sposób zadecydowało o losie Wawelskiego, miało miejsce po zakończonej sukcesem akcją, podczas której policjanci z wydziału kryminalnego zatrzymali grupę przestępczą, zajmującą się kradzieżami samochodów. W wyniku akcji zabezpieczono wiele dowodów rzeczowych w postaci pojazdów i pochodzących z rozmontowanych, przeznaczonych na sprzedaż, części skradzionych samochodów. Rozpracowanie szajki trwało kilkanaście tygodni, podczas których harowali przy sprawie dzień i noc, więc zadowoleni z osiągniętego sukcesu postanowili uczcić to niewielką imprezą alkoholową. Na miejsce spożycia trunków wyznaczyli jeden z pokoiów wydziału, a do libacji przyłączył się osobiście sam Holender. Żeleźnik miał wyznaczony w tym dniu dyżur popołudniowy, a zresztą w takich alkoholowych spotkaniach z reguły nie brał udziału.

W sumie zdążyli w sześciu wypić dwie „krowy”, jak nazywali butelki o zawartości 0,7 litra alkoholu, gdy Holender oświadczył, że następną stawia on sam, aby dodatkowo w ten sposób wykazać swoje zadowolenie ze sprawnie przeprowadzonych działań. Stwierdził, że Walewski, jako najmłodszy stażem pracownik wydziału, ma udać się do pobliskiej stacji Orlenu i zakupić tam jeszcze jedną butelkę o tej samej pojemności, na którą zresztą od razu wyasygnował odpowiednią ilość gotówki.

Powracający z zakupionym alkoholem Walewski miał pecha, bo na korytarzu natknął się na Żeleźnika, który akurat szedł do swojego gabinetu. Od razu zauważył, że Walewski jest pod wpływem alkoholu i zażądał od niego wyjaśnień. Postawiony przed koniecznością ewentualnego wysypania kolegów zastanawiał się jak ma postąpić, a podjęcie decyzji utrudniała mu jego nieodległa przeszłość. Przez kilka poprzednich lat, jako pracownik wydziału kryminalnego komendy wojewódzkiej, nadzorował niektóre działania komendy miejskiej, skierowane przeciwko złodziejom samochodów, nie mógł się więc jeszcze przyzwyczaić, że Żeleźnik jest od pewnego czasu jego przełożonym i winien mu służbowe posłuszeństwo. Ponadto przekonanie, że alkohol spożywał w towarzystwie samego zastępcy komendanta, dodawało mu szczególnej odwagi, więc w sposób niezbyt cenzuralny zaproponował swemu szefowi, aby się od niego odczepił. Zdenerwowany Żeleźnik chwycił go za klapy i wciągnął do swojego gabinetu, który w międzyczasie zdążył otworzyć. Jeszcze bardziej zdenerwowany i podpity Walewski wyszarpnął się i również mocno chwycił go za klapy marynarki. Prawdopodobnie doszłoby do bijatyki, gdyby nie to, że do pokoju gwałtownie wszedł jeden z biesiadników, traf chciał, że jeden z najlepszych, po Walewskim, speców od przestępczości samochodowej, cieszący się zaufaniem naczelnika. Udało mu się zażegnać nadchodzące nieszczęście i nie dopuścił do tego, aby Walewski zamiast argumentów użył swojej pięści, co dawało mu z miejsca wilczy bilet, a właściwie to skierowanie do cywila z perspektywą sprawy karnej na dodatek. W tym samym czasie, słysząc przez drzwi co się dzieje, Holender wraz z pozostałymi pod-

władnymi wymknął się z pokoju, a następnie szybko opuścili budynek komendy, pozostawiając kolegów na pastwę losu. Po wyjaśnieniu, że spożywali oni alkohol w towarzystwie Holendra, Żeleźnik nakazał im natychmiast opuścić budynek, a sam poszedł na poszukiwanie swojego bezpośredniego przełożonego. Wiedział, że takie sytuacje zdarzały mu się już niejednokrotnie, ale nigdy nie dochodziło do ekscesów tego rodzaju. Chłopaki wypili dwie – trzy butelki i spokojnie rozchodzili się do domów. Jednakże spotkanego na korytarzu Wawelskiego szczególnie czegoś nie lubił i dlatego, zresztą jak później przyznawał, niepotrzebnie, zaczął w sposób tak agresywny. Po chwili, od oficera dyżurnego dowiedział się, że Holender wraz z grupą podwładnych opuścił niedawno budynek i poza dyżurującymi policjantami nikogo w komendzie już nie ma.

Na drugi dzień rano zameldował Majowi, że Walewski z kolegą po pracy na terenie komendy pili alkohol, a ponadto Walewski w stosunku do niego zachował się niestosownie, wykazując wielką niesubordynację. O tym, że razem z tymi dwoma alkohol spożywał Holender, oczywiście nie powiedział ani słowa, za co Holender był mu przez jakiś czas ogromnie wdzięczny. Maj, po wysłuchaniu relacji Żeleźnika, i na jego prośbę, podjął decyzje o niewszczynaniu postępowania dyscyplinarnego, a jedynie ukaraniu podwładnych przeniesieniem do pracy w komisariatach, z tym, że Walewski został przeniesiony poza Wałbrzych, do nieodległego Boguszowa-Gorce. I nie wiadomo jak długo pracowałby w tym komisariacie, gdyby nie Drożdż, który interesował się mimo wszystko losem swoich byłych podwładnych. Zresztą w jego ocenie Walewski był rasowym operacyjniakiem i jego obecność w nowo powstałej grupie dawała gwarancję, że będą działać szybko i skutecznie. Mimo upływu czasu Walewski nie mógł zapomnieć tego zdarzenia, ani Żeleźnikowi, ani Holendrowi, których uważał za policyjnych niedorajdów i karierowiczów.

Teraz słuchając słów Snopkiewicza nie mógł powstrzymać się od wyrażenia kilku negatywnych i obelżywych opinii o swych byłych, chociaż przez krótki okres, przełożonych.

- Reszka spuścił banię Romaniukowi i ten się go boi jak diabeł święconej wody, więc powie wszystko, co ten mu każe. A ten dupek Żeleźnik boi się Reszki, bo tata może mu zaszkodzić i teraz już wiesz, kto tam rządzi, a kto dupą trzęsie – opinia Wawelskiego była jednoznaczna i druzgocząca dla Żeleźnika. Szczęściem nie słyszał on tego, bo mogłoby to pogłębić i tak potężny stres wynikający z nieformalnego jakby udziału w tych dziwnych wydarzeniach, jakie się na jego oczach rozgrywały..

- Zobaczcie panowie – odezwał się Rylecki wskazując na kępę drzew gdzie przeprowadzana była wizja – wyszli z lasu na łąkę i coś tam zaczynają kombinować. Kurwa, Reszka zdejmuje pasek od spodni. Co on, lać go będzie? – wykrzyknął zdumiony.

Faktycznie, z tej niewielkiej przecież odległości widać było wyraźnie, że stojący w pewnej odległości od zatrzymanego Reszkowski, wskazując na niego, gwałtownie wyciąga ze spodni skórzany pasek.

- Kurwa, nie wytrzymam, idę tam – Drożdż klnąc szpetnie pod nosem szybkim krokiem udał się w kierunku stojącej na łące grupy.

- Chłopaki, niezłe jaja się szykują – skwitował sytuację, z pewną dozą złośliwej satysfakcji, Walewski.

- Temu durniowi wszystko może przyjść go lba – odezwał się Snopkiewicz nie precyzując kogo ma na myśli – Ale co tam robi ten prokurator. Śpi, czy nawalony? – zastanawiał się głośno rozglądając się w koło, bo właśnie pojawiła się nowa grupa ludzi szybko idącą w ich kierunku.

Zauważył ich również Rylecki i zdając sobie sprawę, że liczba gapiów gwałtownie zaczyna rosnać zakomenderował:

- Panowie, przesuniemy tych ludków, bo teraz są za blisko i mogą jeszcze się nam wyrwać – wskazał na idących ludzi – za tę górkę muszą się cofnąć, aby nie oglądali tego, co tam się będzie działo. Tadeusz, idź do swoich i powiedz to Palce.

- Patrzcie, są i następni ciekawscy – tym razem to Walewski wskazał na kolejną grupkę zmierzającą w ich kierunku – Powiedz Walkowi, że my tutaj tych z boku, pogonimy.

W tym czasie Drożdż doszedł do prowadzących wizję w momencie, gdy Reszkowski z paskiem w ręce podszedł do prokuratora i coś mu szeptał na ucho, na co prokurator zareagował, kiwając ze zrozumieniem głową. Do rozmowy włączył się też Holender, któremu prokurator zrelacjonował to, co powiedział mu Reszka. Po chwili wszyscy podeszli do stojącego z boku, pod strażą dwóch policjantów, Romaniuka. Zaintrygowany Drożdż podszedł również i stanął z boku obserwując rozgrywające się przed nim scenę.

Prokurator nakazał włączyć kamerę i po wypowiedzeniu niezbędnej formułki kontynuował przerwana przed chwilą wizję.

- Proszę mi powiedzieć – zwrócił się do Romaniuka – czy pan dobrze pamięta, co tu się na tej łące rozegrało?

- Tak, proszę pana – niepewnym głosem odpowiedział mu Romaniuk i znów zaczął nerwowo rozglądać się dookoła, jak gdyby chciał sobie to wszystko, co tu się rozegrało, dokładnie ze szczegółami przypomnieć.

- To, gdzie pan spotkał tę panią? Proszę pokazać ręką, a następnie przejść w to miejsce.

- Może ja zadam to pytanie inaczej – wtrącił się niespodziewanie Holender – skąd i gdzie pan z tą panią przyszedł?

- No, w którym miejscu się zatrzymaliście – sprecyzował, widząc niepewną minę Romaniuka.

- Tak, tak. Proszę wskazać, z którego kierunku przyszedł pan z tą panią i gdzie się zatrzymaliście – prokurator ponownie przejął paleczkę prowadzącego czynność procesową.

- Ja tą panią zobaczyłem tam na ścieżce, jak leżała i chciałem ją podnieść i ona mnie podrapała – Romaniuk zaczął płakać i trząść się na całym ciele – Ja to już mówiłem temu panu – wskazał na Holendra – jeszcze tam w komendzie. I wczoraj też mówiłem, że ja nic nie zrobiłem, tak mówiłem. Ja nic nie zrobiłem. Nic nie zrobiłem ja to już mówiłem. Wczoraj to mówiłem – powtarzał trzymając skute kajdankami ręce przy twarzy. Chaotycznie wyrzucał z siebie słowa, które po chwili stały się całkowicie niezrozumiałe z powodu gwałtownie nasilającego się szlochu, Płacząc i mamrocząc coś zarazem, kulił się jednocześnie z prze-

rażenia, tak jakby miejsce gdzie zamordowano dziewczynę, wywoływało w nim poczucie narastającej gwałtownie grozy.

Widząc, co się dzieje, prokurator szybko nakazał przerwać nagrywanie i polecił policjantom uspokoić ciągle płaczącego głośno chłopaka. Ci odeszli z nim na bok, a po chwili dołączył do nich Holender. Drożdź nie słyszał, o czym tam rozmawiali, ale widać było, że Romaniuk powoli się uspokaja, a Holender dobrotliwie klepie go po ramieniu. Jeden z policjantów poczęstował go papierosem, którym chłopak zaciągał się nerwowo trzymając go w trzęsącej się dłoni. Po dłuższej chwili wypełnionej rozmową Holender podszedł do prokuratora informując go, że wizja może być kontynuowana.

Po włączeniu kamery i ponownym wypowiedzeniu niezbędnych formułek, jak również wytłumaczeniu powodów, dla których wizję przerwano, prokurator z wyraźnie nietęgą miną przystąpił do zadawania dalszych pytań. Co chwilę spoglądał na stojącego w pobliżu Reszkowskiego, który ani razu nie zdradził się jakimkolwiek zainteresowaniem dotyczącym zachowania się Romaniuka.

- Proszę pana – prokurator podszedł bliżej, tak jakby bał się uronić choć jedno wypowiedziane przez niego słowo – proszę powiedzieć skąd, z jakiego kierunku pan z tą panią przyszedł, a potem pokazać to, tu do tej kamery.

Prokurator starał się mówić bardzo spokojnie i beznamiętnie, aby nie wywołać znowu jakiegokolwiek gwałtownej reakcji chłopaka.

- My tam na ścieżce się spotkaliśmy. Tam – wskazał ręką w kierunku widocznej za wzniesienia kościelnej wieży – i potem tu przyślijmy, tu na tę łąkę. Pan komendant mówił

Prokurator zareagował błyskawicznie i przerwał mu w pół słowa zadając kolejne pytanie.

- Jak tu szliście, proszę pokazać, w którym miejscu się zatrzymaliście.

Romaniuk przeszedł w stronę końca ścieżki, tuż na samym skraju zagajnika, gdzie leżały, jeszcze nie tak dawno, zwłoki dziewczyny.

- Tu przyszliśmy – powiedział niepewnie spoglądając na Holendra.

- Jak tu szliście, to czy coś się wydarzyło?

- Nie, nic się nie wydarzyło – Romaniuk odpowiedział nad wyraz spokojnie i wyraźnie.

Drożdź zauważył, że w czasie tej wymiany zdań do Romaniuka powoli zbliżył się Reszka i zatrzymał się tuż obok policjanta pilnującego skutego chłopaka.

- Nic się nie wydarzyło? – zapytał się nagle, jakby zapomniał, że to nie jest przesłuchanie, a wizja lokalna, gdzie wszelkie oddziaływanie na podejrzanego są niedopuszczalne.

- To dlaczego udusiłeś ją smyczą? – pytanie to Reszkowski zadał głośno i wyraźnie. Romaniuk zareagował nerwowym drgnięciem głowy, ale ku zdumieniu Drożdża odpowiedział spokojnie.

- Ona miała takiego psa, co mnie chciał w nogę ugryźć i ja go kopłem. Chciałem kopnąć - poprawił się szybko.

- Słyszał pan pytanie – wtrącił się prokurator – dlaczego ją pan udusił smyczą?

- No... ona się szarpała, podrapała mnie. Mówiłem o tym. Podrapała mnie, szarpała się – Romaniuk starał się mówić spokojnie, ale widoczne było, że przycho-

dzi mu to z dużą trudnością. W kącikach oczu zbierały się ponownie łzy, powoli ciekąc po policzkach.

Słyszac i ogladajac to wszystko Drozd ponownie zaczal zastanawiac sie, jaki to, co widzi, ma cel? Przeciez taki material zostanie zdruzgotany przez obrone, jako dowod na manipulowanie podejrzanym i nieuprawnione ukierunkowywanie jego odpowiedzi.

Pierwszy raz w swojej dlugiej policyjnej karierze spotkal sie w oko w oko z taka przedziwna sytuacja, gdzie nie tylko prokurator, ale i wydawaloby doswiadzeni policjanci, zachowuja sie, jak postaci z glupiego polskiego filmu kryminalnego. Zastanawial sie, co w takiej sytuacji ma zrobic. Interweniowac ponownie u tego prokuratora, porozmawiac z Zeleznikiem, czy powiadomic o wszystkim Meryla? Przypomniat sobie slowa Meryla sprzed dwuch dni, by nie wtracal sie zbyt nachalnie i pozostawil kierownictwo w rekach Holendra. Zdecydowal wiec ostatecznie, ze nie bedzie uczestniczyl w tej hecy i bez slowa odszedl w kierunku swoich kolegow z zespołu.

Po drodze zatelefonowal jednak do Meryla i ze szczegolami opowiedzial mu, czego byl swiadkiem. Reakcja Meryla rowniez wywolala jego zdumienie.

- Jarek chyba wie, co robi – krótko skwitowal jego relacje Meryl.

- No, jezeli tak sadzisz ... – na chwile zawiesil glos – zreszta nie moja sprawa. W tej sytuacji zabieram chlopakow i jedziemy do domu. Oni juz prawie koncza, wiec dla nas roboty juz nie ma.

- Skonsultuj to z Jarkiem – przypomniat mu Meryl.

- Juz mu to powiedzialem – sklamal, nie chcac sie wdawac w dalsze dywagacje na ten temat.

- Aha. Mam dla ciebie zadanie na jutro – Meryl powiedzial to tak, jakby sobie cos nagle przypomniat.

- Slucham – jego glos wskazywal jednoznacznie na wyraznie umiarkowane zainteresowanie informacja naczelnika. Podejrzewal, ze bedzie chcial go oddac do dalszej i bardziej skonkretyzowanej dyspozycji Holendra.

- Prokurator Okregowy chce abyś jutro o 12.00 przyjechal do niego w sprawie zabojstwa tego gościa z antykawriatu. To chyba byla z kilka lat temu ... pamietasz sprawe?

- Oczywiscie, bo bylo glosno, ale ja wtedy w CBS w glownej bylem. Chodzi ci o zabojstwo antykwariusza?

- Tak, dokladnie o tej sprawie chce z toba rozmawiac prokurator okregowy.

- Nie ma problemu. O sprawie slyszalem, ale nie bralem udzialu w zadnych czynnosciach.

Byl troche zaskoczony i zdziwiony jednoczesnie tym, ze w tej sprawie prokurator chce akurat z nim rozmawiac. Przeciez na jej temat nie mial absolutnie zadnej wiedzy. Szybko zrobil w myslach rachunek sumienia i z ulga stwierdzil, ze w sprawie tej nigdy z nikim, poza oczywiscie prywatnymi rozmowami z chlopakami z grupy, nie rozmawial.

- On chce abyś ty sie zajal pewnym wyklaczonym z niej watkiem.

- Taak? Dzwne to, ale w porzadku, jutro tam bede – tym razem w jego glosie zabrzmiala bardzo wyczuwalna nuta zainteresowania

- Pamiętaj, abyś zaraz po tej rozmowie zadzwonił do mnie i powiedział, o co tam chodzi. Ja znam sprawę ogólnie, więc czekam na szczegóły. Cześć – zakończył rozmowę Meryl.

- Cześć – odpowiedział bezwiednie, nie zwracając nawet uwagi na to, że Meryl już się wyłączył i jego słów pożegnania nie usłyszał.

Powrócił do kolegów i poinformował ich o czym rozmawiał z Merylem, co wywołało raczej skąpe zainteresowanie, albowiem żaden z nich przy tej sprawie nigdy nie wykonywał żadnych czynności.

- Panowie, pakujemy się i znikamy – zdecydował.

- Andrzej, ty kopnij się do Walka i powiedz mu, jaka jest sytuacja, żeby mógł i tu porządek utrzymać. My na ciebie poczekamy.

- O w mordę - nagle wyrwało się Walewskiemu – mogłem tu „poldkiem” podjechać, to byśmy teraz z kapcia nie zapychali.

- Ano mogłeś – skwitował krótko Drożdż.

Po powrocie Ryleckiego wspólnie ustalili, że jadą do bazy na Nowe Miasto, aby zostawić broń i samochód, a następnie idą do NOT-u gdzie Drożdż będzie miał okazję, aby wreszcie się wywiązać z danej niedawno obietnicy i postawić butelkę „Siwuchy”. Po drodze mieli zakupić porcję „białego kawioru”, czyli zwykłej białej kaszanki która do „Siwuchy” była najlepszą zakąską.

Postanowił, że zadzwoni jednak do Holendra i przekaże mu, iż oni kończą swój udział w działaniach i wracają do domu, informując jednocześnie, że zostało to uzgodnione z Merylem. Bez zdziwienia dowiedział się od Holendra, że on już wie, bo właśnie przed chwilą Meryl dzwonił do niego i przekazał mu treść rozmowy, jaką przed chwilą przeprowadził z Drożdżem, łącznie z informacją o jutrzejszym spotkaniu z prokuratorem. Prawdopodobnie jednak Meryl nie poinformował go o niezbyt pochlebnych uwagach na temat trwającej wizji lokalnej, no co wskazywało spokojne zachowanie się Holendra. W rezultacie uzgodnili, że Drożdż w dniu następnym przyjdzie do komendy i ustalą, co dalej w sprawie będą robić, a także Holender przekaże mu kilka niezbędnych informacji w sprawie prowadzonej przez ludzi Żeleznika, rozpracowania operacyjnego dotyczącego zabójstwa właściciela antykwariatu.